

Bronisław JAKUBIEC SDS

## SUKIENKA Z HABITU

*Żyły przecież w klauzurze. Modliły się, pracowały. Wierzyły w swoje posłannictwo i w to, że w klasztornej ciszy swoim odejściem od świata w ważny sposób służą Kościołowi, a przede wszystkim nikomu nie wadzą. Nie mogły zrozumieć decyzji, która zapadła bez ich woli. No cóż, trzeba było jednak stawić czoła trudnościom. Nie załamywać się, chociaż znalazły się w bardzo smutnej sytuacji. Trzeba było przesyć habit na sukienkę – i w drogę. Z odwagą, przecież był z nimi Pan.*

2 lutego bieżącego roku dobiegł końca ogłoszony przez papieża Franciszka Rok Życia Konsekwowanego, który rozpoczął się w pierwszą niedzielę adwentu roku 2014. W całym Kościele czas ten obfitował w różnorakie inicjatywy zainspirowane słowami Ojca Świętego. W swoim Liście apostolskim do wszystkich osób konsekrowanych Papież mówił: „Piszę do was jako Następca Piotra, któremu Pan Jezus powierzył zadanie utwierdzania braci w wierze (por. Łk 22,32), i piszę do was jako wasz brat, konsekrowany Bogu, podobnie jak i wy. Razem dziękujemy Ojcu, który nas powołał do postępowania za Jezusem w pełnym posłuszeństwie Jego Ewangelii i w służbie Kościołowi oraz wlał w nasze serca Ducha Świętego, który daje nam radość i sprawia, że dajemy całemu światu świadectwo o Jego miłości i Jego miłosierdziu”<sup>1</sup>.

Niech o tej miłości i miłosierdziu zaświadczy pewna historia z życia osoby konsekrowanej, benedyktyнки Jadwigi Heleny Józak. Historię tę usłyszałem ponad trzydzieści lat temu. Zafascynowała mnie i postanowiłem wówczas utrwalić ją na papierze. W tamto upalne lato 1981 roku, spisując ją „na gorąco”, byłem przekonany, że piszę do przysłowiowej szuflady. Taki też zresztą okazał się los tej opowieści przez ponad trzy dekady – przeleżała w szufladzie. Nigdy nie sądziłem, że ujrzy światło dzienne, ale stało się inaczej. Nie tylko Rok Życia Konsekwowanego, ale również 1050. rocznica Chrztu Polski, której historię w znaczący sposób kształtowało przecież życie zakonne, stały się okazją, by powrócić do tamtych notatek i podzielić się ich treścią z czytelnikami.

<sup>1</sup> Franciszek, *Świadkowie radości* (List apostolski do zakonnic i zakonników na rozpoczęcie Roku Życia Konsekwowanego, Watykan, 21 XI 2014), [https://w2.vatican.va/content/francesco/pl/apost\\_letters/documents/papa-francesco\\_lettera-ap\\_20141121\\_lettera-consacрати.html](https://w2.vatican.va/content/francesco/pl/apost_letters/documents/papa-francesco_lettera-ap_20141121_lettera-consacрати.html).

Zacznijmy jednak od początku. Tuż po święceniach kapłańskich zostałem posłany przez przełożonych, aby przez miesiąc wakacyjny zastępować mojego współbrata, kapelana sióstr benedyktynek w Wołowie na Dolnym Śląsku<sup>2</sup>.

W swoim dzienniku pod datą 22 lipca 1981 roku (była to środa) zapisałem: „Klasztor Sióstr Benedyktynek Ormiańskich. Przybyłem tutaj wczoraj po południu. Moja pierwsza placówka duszpasterska. Z okna mam widok na ogródek kwiatowy i wieżyczkę z dzwonem na klasztornej kaplicy. Rano siostra dzwoni. Dużo ciszy. Dużo czasu. Dużo modlitwy. Spowiadam, odprawiam Msze Święte, nowennę do Matki Bożej Nieustającej Pomocy, głoszę kazania [...]. Znów zyskałem zaplecze modlitwne. Siostry benedyktyнки, a zwłaszcza Matka Przeorysza, obiecały się za mnie modlić”.

To właśnie tam spotkałem matkę przeoryszę Jadwigę Helenę Józak, której postać – nie będą tego ukrywał – zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Rozmowy z nią były niczym rekolekcje. Właśnie po jednej z nich, po rozmowie, która bardzo mnie poruszyła, postanowiłem utrwalić na papierze tamte niepowtarzalne wspomnienia osoby konsekrowanej. Dziś, wracając do nich po ponad trzydziestu latach, dostrzegam, że ujawniają one niezwykle piękno prostoty życia zakonnego, realizowanego z miłością w posłuszeństwie i zaufaniu Bożej Opatrzności w jakże nieprzewidywalnych i trudnych warunkach. Życie to dobrze opisują słowa Papieża Franciszka; było ono w istocie „postępowaniem za Jezusem w pełnym posłuszeństwie Jego Ewangelii i w służbie Kościołowi”.

## HABIT I SUKIENKA

Słońce świeciło od samego rana. Była pełnia lata. W południe Matka Przeorysza wyszła ze swojej celi zakonnej i zeszła na dół, usiadła w wirydarzu. Tyle słońca, tyle zieleni... Bajecznie kolorowo... Pracowite pszczoły uwijają się wśród kwiatów, czasem przeleci motyl, no i ten wspaniały śpiew ptaków. W takich chwilach serce się wyrywa, pragnie się połączyć z całą naturą, by wielbić Stwórcę. Na trawniku ustawiono okrągły stolik pomalowany na zielono, obok wiklinowe fotele.

---

<sup>2</sup> Benedyktyнки Ormiańskie (Panny Benedyktyнки Ormiańskie) to żeński zakon katolicki obrządku ormiańskiego oparty na regule św. Benedykta, założony we Lwowie w latach 1675-1676. Po drugiej wojnie światowej w roku 1946 w wyniku utraty przez Polskę wschodnich terenów siostry zostały zmuszone do opuszczenia Lwowa. W roku 1958 przeniósł się do Wołowa na Dolnym Śląsku, gdzie osiadły w klasztorze podarowanym im przez siostry boromeuszki i opiekują się kaplicą pod wezwaniem św. Józefa przy ulicy Poznańskiej. Brak rodzimych powołań i uwarunkowania życia społeczności ormiańskiej w Polsce spowodowały, że w roku 1961, za czasów ksieni Jadwigi Józak, doszło do tak zwanej konwersji, czyli przyjęcia obrządku łacińskiego.

– Tak, to były dla nas bardzo trudne chwile – wyznała zamyślona. – Kazali nam się wynosić ze Lwowa. To był prawdziwy szok dla wszystkich sióstr.

Żyły przecież w klauzurze. Modliły się, pracowały. Wierzyły w swoje posłannictwo i w to, że w klasztornej ciszy swoim odejściem od świata w ważny sposób służą Kościołowi, a przede wszystkim nikomu nie wadzą. Nie mogły zrozumieć decyzji, która zapadła bez ich woli. No cóż, trzeba było jednak stawić czoła trudnościom. Nie załamywać się, chociaż znalazły się w bardzo smutnej sytuacji. Trzeba było przesyć habit na sukienkę – i w drogę. Z odwagą, przecież był z nimi Pan.

Matka Jadwiga spędziła w klasztorze siedemdziesiąt lat. Wysoka, postawna, z laską. Wyglądała jak generał.

– Wtedy z tego Lwowa – kontynuowała swoją opowieść – pojechałam prosto do Katowic. Oczywiście do kurii. Tam zostawiłam wiadomość dla innych sióstr.

Tak się umówiły. Że jeśli będą przejeżdżać, wypędzone ze Lwowa, to umówione punkty pozwolą im nawiązać ze sobą kontakt. Żeby mogły na nowo się pozbierać i powrócić do życia zakonnego. Ich życia. Wszystko jednak było wtedy w rozsypce. Jedno, co je podtrzymywało na duchu, to nadzieja, że Pan ich tak nie zostawi. Ta nadzieja zawsze w nich żyła.

– Czasy były trudne – mówiła zamyślona – Trzeba było przede wszystkim znaleźć sobie posadę do czasu, kiedy będzie można kontynuować życie zakonne. Kiedy będziemy miały do czego wrócić. Przetrwąć ten czas wygnania i zakonnej bezdomności.

Wierzyła, że będzie to tylko czas przejściowy. Czas, który prędzej czy później się skończy, minie. Czas, jakiego wstępując do klasztoru klauzuruwego, nawet w najśmielszych myślach nie mogła przewidzieć.

Postanowiła wrócić w rodzinne strony. W jakimś sensie przecież za nimi tęskniła. Zawsze modliła się, żeby jeszcze zobaczyć góry, chociaż wiedziała, że jako siostra kontemplacyjna już na dobre się z nimi pożegnała. Była pewna, że rodzinnych stron nigdy więcej nie ujrzy. A tu masz... Niezbadane są wyroki Boże. Tak więc dane jej było ponownie zobaczyć Koniaków. Wspaniałe, zielone i łagodne Beskidy. No i – co najważniejsze – Opatrzność jej nie opuściła. Niespodziewanie otrzymała posadę nauczycielki w szkole w Rostoce.

– Wtedy we Lwowie, kiedy po piętnastu latach wyszłam za klauzurę, kręciło mi się w głowie – wyznawała w zamyśleniu, jakby w duchu przeniosła się do tamtej bolesnej chwili. – Autentycznie miałam zawroty głowy od tego ruchu ulicznego, od tych wysokich kamienic, od tego straszego hałasu i pośpiechu. Każdy gdzieś gnał w swoją stronę... Szłam ostrożnie, powoli, z szeroko otwartymi oczami, żeby nie zgubić się w tym chaosie wielkomiejskiego życia. No i pamiętam, że przystanęłam i obróciłam głowę, żeby po raz ostatni spojrzeć na klasztor.

– Czy naprawdę ostatni już raz widzę swój ukochany klasztor? – myślała.  
– To wszystko było jak zły sen. Nie chciało mi się wierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Uroniło się łezkę – dodała, przecierając oczy. – Ale przecież trzeba było jakoś żyć dalej.

W Rostoce, gdzie dostała posadę nauczycielki, było bardzo spokojnie. Zielone, łagodne Beskidy. – Jakie one są piękne! Aż coś w sercu się dzieje i jest się bliżej Pana Boga. Wysoko w górach – przysiółek.

Bardzo się jej tam podobało. Zwłaszcza ten przysiółek, tak na uboczu, z dala od „cywilizacji”. Było bardzo spokojnie i ludzie dobrzy. Kierownik szkoły mówił zawsze: „Dobrze mamy z koleżanką Heleną. Bo kto by tam na tej górze chciał uczyć?”

To prawda, że trudno było znaleźć ludzi do pracy na takim odludziu. A jej się bardzo podobało. Wierzyła, że to Opatrzność nad nią czuwa. Że to sam Pan ją tam przyprowadził.

Z góralkami żyła nad wyraz dobrze. Mówiła o nich: „dobre gajdoszki”. Dzieci tak naprawdę była niewielka gromadka. Nie było trudno z nimi pracować. Posłuszne, zdyscyplinowane, pobożne. Garstka uczniów, więc można było wszystkich przepytac za jednym razem. Na świętego Mikołaja każdemu dziecku robiła prezent. Takie tam małe drobiazgi, ale cieszyły.

Kierownik szkoły, kiedy się widzieli, zawsze powtarzał, że drugiej takiej, jak koleżanka Helena, nie znajda. Kiedyś pół żartem, pół serio powiedział: „Gdybym nie był już żonaty, to koleżanka Helena byłaby teraz mężatką... Oj, gdybym ja był wolny...”. Rozbawiło ją to. Śmiała się, a w duchu tęskniła za chwilą, kiedy w końcu będzie mogła wrócić do klasztornego życia w klauzurze.

Niedaleko był Koniaków. Chodziła nawet na wesela, chętnie zapraszana. Wiadomo, nauczycielka. – A jakie tam wypieki robili! Nawet mężczyźni.

– Proszę sobie wyobrazić – wspominała z uśmiechem – że po tylu latach, aż do dziś, jedna góralka wysyła tutaj do klasztoru na święta pełny karton wypieków. Wiadomo, że ciasto się trochę po drodze połamie, ale to nic. Siostry mają po pełnym głębokim talerzu, a trochę i tak zostanie na później.

Wcześniej, we Lwowie, Matka (ksieni) mianowała ją przeoryszą.

– Trzeba będzie wracać – myślała. – Ale pora jeszcze nie nadeszła. Nie ma do czego wracać. Jeszcze wszystko niegotowe, siostry nie miałyby do czego przyjechać. Jeszcze trzeba trochę pobyc w tych ukochanych górach.

– Jak krzyże kazali zdejmować ze ścian w klasie, to uratowałam – wspomina. – Polecenie oczywiście wykonałam, zdjęłam – ale przewiesiłam na inną ścianę.

Nikt nie wiedział, że jest zakonnicą. Zakonnicom nie wolno było przecież uczyć wtedy w szkołach. A na emeryturę trzeba było jakoś zapracować.

Zakonnica jednak nigdy nie przestała być. Po obłóczynach nigdy nie przyszło jej nawet na myśl, że kiedyś trzeba będzie habit zdjąć. To, że przesyłała habit na sukienkę – to była konieczność w tamtych czasach i okolicznościach. Śluby zawsze sobie ceniła i wiedziała, że ma tylko jednego Oblubieńca, którego dla nikogo nie porzuci. A pieniądze za tę pracę na etacie przydawały się jeszcze w tym czasie, kiedy rozmawialiśmy. Oczywiście były to grosze, ale bieda trwała dalej i każdy grosz się liczył. Bezgranicznie zaufała Bożej Opatrzności.

Zawsze mówiła siostrze, żeby były miłosierne. Żeby dzieliły się z drugimi, zwłaszcza z tymi, którzy nic nie mają. Wtedy Pan Bóg będzie im błogosławił. Ona sama się przekonała, że to prawda. Tak wiele razy doświadczyła dobra od ludzi, kiedy podzieliła się z nimi, a czasami nawet oddała ostatek.

– Dziś doskonale to widać – podkreślała. – Siostry pomagają ludziom biednym, starym, samotnym. A przecież wiadomo, że same nie mają za wiele. Tak jednak już jest, Pan Bóg czuwa. Jest tak ciężko, a tu niespodziewanie ktoś przyśle paczkę z zagranicy, przyjdą jakieś dary, ktoś wspomże – i tak naprawdę to nigdy niczego nie brakuje.

Ten klasztor, który teraz zajmują – mówiła – to po siostrach boromeuskich. Przełożona generalna im go dała. Oczywiście za wiedzą biskupa. Miejscowy duszpasterz chciał sprowadzić siostry marianki, ale Matka Generalna im właśnie go dała: benedyktynkom ormiańskim, zakonnicom bezdomnym.

– Oj, na początku było bardzo ciężko. Ale powoli, powoli... Z Bożą pomocą... Zjednały sobie ludzi. Pewnego razu zorganizowały inscenizację dla dzieci. Ludzie do dziś to mile wspominają. Kiedyś we Lwowie wystąpiły z tą inscenizacją w gimnazjum. Ona знаła niemal całą na pamięć. Spisała to przedstawienie w nocy, kiedy czuwała przy chorej dziewczynce. Teraz się przydało. Oczywiście w przygotowanie włączyła rodziców. Bardzo się zaangażowali. Przygotowali stroje, takie kolorowe kostiumy z marszczoną bibułą. Były naprawdę piękne, a jakie pomysłowe. Wiadomo, że każda matka postarała się, żeby jej dziecko wyglądało jak najładniej. Pamięta, że przedstawienie odegrano w kościele i w szkole. Tym zjednały sobie ludzi.

Kiedy zapowiedziano wizytę księdza biskupa ordynariusza, prowadziła katechezę zaledwie od trzech miesięcy. Ale jakoś – jak zawsze z pomocą Bożą – udało się. Ksiądz arcybiskup, późniejszy kardynał, nie mógł się jej nachwalić. Publicznie dziękował, aż poczuła się trochę zażenowana, jakby nieswojo, wolałaby być bardziej w cieniu.

I tak jakoś ludzie się przyzwyczaili do nowych sióstr. Przychodzą do kaplicy. Lubią posłuchać, jak siostry się modlą. Odmawiają wspólnie oficjum, uświęcając każdą porę dnia. Ale zostało ich już niewiele. Same staruszki. Dwie nie schodzą już nawet z góry. Trzeba z Komunią Świętą za klauzurę wchodzić.

– Może Pan Bóg ześle nowe powołania? – zamyśliła się. – Te, które były, nie wytrzymały. Tak to już jest z powołaniem. Przecież ono od Pana Boga po-

chodzi i nie można nic na siłę. Trzeba to po prostu na modlitwie rozeznąć. Dobrze, że jest okres próby, nowicjat. Teraz są dwie młodzietkie dziewczyny, jedna już nawet po ślubach czasowych. Co za radość dla całej wspólnoty! Druga jest w nowicjacie. Cieszą te dwa białe welony w ławkach w kaplicy. To jest przyszłość. Modlą się do Matki Bożej Nieustającej Pomocy o nowe powołania. Może kogoś natchnie, żeby do nich wstąpić. Jest pewna, że Ona ich nie opuści.

Obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy przywiozły ze Lwowa. Wzięły ze sobą dwa. To jedyne, co stamtąd zabrały. Oba obrazy wiszą w kaplicy. Ten duży, koronowany, przedstawia Matkę Bożą z Dzieciątkiem. Taka piękna... Ma srebrną sukienkę... Siostry zachowały jeszcze trochę pamiątek ze Lwowa, ale naprawdę nie udało im się wiele ze sobą zabrać. Tam pewnie i tak wszystko poszłoby na zmarnowanie, a przecież to była ich własność. Ot takie drobnostki, choćby zdjęcia księdza arcybiskupa Józefa Teodorowicza, Ormianina. Z dedykacją dla sióstr.

– Przechowujemy też modlitewnik po ormiańsku, ręcznie spisany przez siostry – mówiła. – Pamiętam, że Ksiądz Arcybiskup powiedział siostrom, że będą musiały z tego miejsca odejść, ale po siedemdziesięciu latach powrócą do Lwowa. Kiedy to będzie, aż trudno sobie wyobrazić, już w dwudziestym pierwszym wieku. No, trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. Ja już nie dożyję. A młode? Czy zechcą?

Słońce mocno świeciło. Zmierzało ku zachodowi. Sporo przesunęło już cień dzwonnicy, który sięgał kwiatów, kładł się na twarz i habit siostry. Przeorysa poprawiła kornet. – Trzeba się już zbierać.

Siostra Józefa jechała jeszcze tego dnia odwiedzić swoją chorą siostrę. Pod jej nieobecność gotować miały młode siostry. Zazwyczaj to siostra Józefa gotowała.

– No niech spróbują. Jutro zobaczymy, co potrafią – mile się uśmiechnęła.

Martwiła się o siostrę Stanisławę, która czuła się bardzo źle. Kłopoty żołądkowe. Już dawno ją namawiała, żeby poszła do lekarza. Ale ona nie chciała. A teraz? – Czy nie jest za późno? Sumienie przeorysa miała jednak spokojne. Sprowadziła do niej lekarza, chociaż nic to nie pomogło. – Błada, mało je, łatwo się męczy... Aż żal patrzeć. Taka dobra siostra... I w tej całej chorobie taka dzielna, a jaka pracowita! Aż trudno uwierzyć, że przy tych dolegliwościach i cierpieniach jest tak sprawna.

W tej Rostoce przez jakiś czas były razem. Dała jej znać, gdzie jest, i siostra Stanisława przyjechała. Wspólnie w ukryciu się modliły. Zawsze można było na niej polegać. No cóż, jeszcze raz sprowadzi lekarza – mówiła matka Jadwiga. – Nie można jej tak zostawić, chociaż się broni. Może coś pomoże. Może trochę ulży w cierpieniu.

Czas nieubłaganie upływał. Słońce przesunęło się i niczym obrus „nakryło” stół. Do całkowitego zachodu było jednak jeszcze parę godzin. Matka



przełożona powoli podniosła się z fotela. Wsparła się na lasce. Wyprostowana, z laską stanęła na trawniku. Już czas, żeby obejść gospodarstwo. Jest przecież matką przeoryszą i czuje się odpowiedzialna. Chce dać przykład młodym siostram. Chce im jak najwięcej przekazać. Plany ma ambitne. Chciałaby jedną wykształcić na organistkę. To jej marzenie. Mają na chórze fisharmonię, która niestety milczy. Nie ma nikogo, kto by na niej zagrał, jedynie pan organista, który przychodzi tylko wtedy, kiedy ma czas.

Chciałaby też bardzo, żeby siostry uczyły się języków obcych. To zawsze się przydaje. Nawet myślała, żeby sprowadzić dochodzącą profesorkę, ale one coś nie bardzo chcą. Może nie widzą takiej potrzeby? Oczywiście nie na siłę. U nich we Lwowie – pamięta – ksieni mówiła po francusku, angielsku i niemiecku. Sama uczyła siostry, a podczas rekreacji miały konwersacje. Ach, jak to miło wspomnieć, jak próbowały podczas rekreacji doskonalić język obcy. A ile przy tym było śmiechu, ile zabawy i radości. No, a teraz się przydało. Bez problemu przeczyta list z zagranicy, a przy większym wysiłku i odpisać potrafi. Oczywiście przeprosza za błędy, ale najczęściej dostaje odpowiedź, że wszystko rozumieją.

Powoli wyszła z wirydarza. Z trawnika zerwało się kilka gołębi, które szukały rozsypanych ziaren. Poszła w stronę drzwi klasztoru. Poderwał się i pobiegł za nią mały piesek.

– To Muszka – powiedziała. – Jest już stara. Nawet już dobrze nie widzi i dobrze nie słyszy. Ma już swój wiek. Jest z nimi w klasztorze od piętnastu lat. To dla pieska wiek już sędziwy.

Tak, tak, i Muszce, i jej powoli już trzeba odejść z tego świata. Ale wtenczas, kiedy Pan Bóg będzie chciał. Tak ogólnie czuje się dobrze. Dzięki Bogu. Jej lekarz mówi, żartując, że jest żywą reklamą zdrowia. Taki wiek i jeszcze takie zdrowie! Tylko te nogi bołą i trzeba wspomagać się laską. Siostra Stanisława wymogła na niej, żeby już nie schodziła z góry na godzinę szesnastą na wspólne oficjum. Horarium zakonne to jedno, a zdrowie to drugie. To już dla niej zbyt męczące. Posłuchała. Teraz pójdzie na górę do celi i zejdzie dopiero na godzinę osiemnastą. Ale właśnie dochodzi już szesnasta i słychać dzwonek wzywający na modlitwę.

O, jakże się dzisiaj zagadała. Tak jakoś na te wspomnienia ją zebrało. No cóż..., ale jak już jest na dole, wstąpi odmówić brewiarz. Drzwi z kaplicy do zakrystii były otwarte. Dobiegał głos modlitw chóru zakonnego. Cieniutkie głosy wielbiły Boga: „Boże wejrzyj ku wspomnieniu memu, Panie pospiesz ku ratunkowi memu”. – Tak to już jest w naszym życiu zakonnym. Ora et labora. Módl się i pracuj. Teraz właśnie przyszedł czas na modlitwę.

Pod dzwonnica dojrzywały morele. Kwitły kolorowe malwy na wysokich łodygach. Krzewy róż obficie obsypane czerwonymi kwiatami. A w kaplicy siostr benedyktynek jak w niebie. Bóg się zaśluchał w modlitwy ubogich.

I Matka Boska, i święty Józef, Franciszek, Jadwiga... I te aniołki, co przelatując, zawisły w bezruchu w ołtarzu głównym i na suficie. Siostry benedyktyнки tu na ziemi, oni w niebie, wszyscy razem wysławiają Zbawiciela.

*Na podstawie notatek sporządzonych w lipcu 1981 roku  
w klasztorze Sióstr Benedyktynek Ormiańskich w Wołowie*

\*

Niedawno ku swojemu zaskoczeniu w „Biuletynie Tygodniowym Centrum Informacyjnego Zakonów”, wydawanym przez Konferencję Wyższych Przełożonych Zakonnych w Polsce, znalazłem następującą informację: „We Lwowie powstanie pierwszy klasztor kontemplacyjny od czasów zakończenia II wojny światowej. Wczoraj w uroczystość św. Józefa wmurowano kamień węgielny i poświęcono plac pod jego budowę. Pochodzący z bazyliki św. Piotra w Watykanie i poświęcony przez Benedykta XVI kamień węgielny został wmurowany przez metropolitę lwowskiego obrządku łacińskiego. Abp Mieczysław Mokrzycki uczynił to we Lwowie Sołonce, na terenie placu budowy klasztoru sióstr Benedyktynek od Nieustającej Adoracji Najświętszego Sakramentu. Abp Mokrzycki podkreśla, że «jest to wielkie wydarzenie dla archidiecezji lwowskiej, która po wojnie utraciła klasztory, w tym także klauzurowe. W nowopowstającym klasztorze siostry w sposób szczególny będą wypraszać pokój dla Ukrainy i potrzebne łaski dla rozwoju Kościoła katolickiego w tym kraju». Do Lwowa siostry benedyktyнки przybędą z klasztoru w Żytomierzu, leżącego na terenie diecezji kijowsko-żytomierskiej”<sup>3</sup>.

Informacja ta jest tym bardziej poruszająca, że w roku 1981 matka Jadwiga Józak nawiązała w czasie naszej popołudniowej pogawędki do przepowiedni biskupa Józefa Teodorowicza mówiącej o powrocie – po siedemdziesięciu latach – sióstr benedyktynek do Lwowa.

---

<sup>3</sup> „Biuletyn Tygodniowy Centrum Informacyjnego Zakonów” 2016, nr 12-13 z 15-18 III 2016, s. 369n. Zob. też: M. K r a w i e c SSP, *Lwów: pierwszy klasztor kontemplacyjny*, [http://pl.radiovaticana.va/news/2016/03/20/lw%C3%B3w\\_pierwszy\\_klasztor\\_kontemplacyjny/1216866](http://pl.radiovaticana.va/news/2016/03/20/lw%C3%B3w_pierwszy_klasztor_kontemplacyjny/1216866).